



WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Młodzieży i Dzieci

Z DODATKIEM POWIESCIOWYM.



Sławni muzycy z pierwszej połowy XIX-go wieku.

Sztuka muzyczna w końcu XVIII wieku dzięki zwłaszcza takim mistrzom, jak Haydn, Mozart, Beethoven, rozwinęła się znakomicie i odtąd wznosi się coraz bardziej. W pierwszej połowie XIX-go wieku zabłysło mnóstwo gwiazd na polu muzyki, zarówno

kompozytorów jak i wirtuozów, czyli wykonawców. Wśród kompozytorów pierwsze miejsce zajął nasz Szopen, urodzony w Żelazowej Woli w 1809 roku, wśród wirtuozów zaś Franciszek Liszt, Węgier, urodzony 1811 r. Rycina nasza przedstawia zebranie u Liszta w Paryżu, w czasie jego pobytu między

1832-1837 rokiem. Przy fortepianie siedzi gospodarz, naprzeciw niego stoi Szopen (nie zupełnie wprawdzie podobny) i fortepianista Thalberg. Na prawo ze skrzypcami siedzi Paganini, słynny skrzypek włoski, na lewo kompozytor francuski Berlioz.

Kamień św. Wojciecha w katedrze Wrocławskiej. *)

Błogosławione te lechickie kraje,
Gdzie święty Wojciech z słowem Bożem staje,
Gdzie jego stopa ślady wycisnęła,
Gdzie mówią o nim drzewa i strumienie,
A nawet martwe głazy i kamienie
Porozślawiały wielkie jego dzieła,
Z których świętości wyrosły promienie!

Oto wspaniała katedra Wrocławia
Wielki cud jego kamieniem wystawia,
Co się tam blisko kazalnicy mieści.
Tak o nim głoszą starodawne wieści:

Opowiadając ewangelii słowa,
Przechodzi Wojciech przez Szląsk do Krakowa,
A tu kraj równy, niezmierzone pola,
Tylko gdzieniegdzie przyświecają łaski,
I długa droga była, jak bez końca...
Aż ujrzał Odry zwiérciadlane wody,
I wszedł znużony do wioski Opola.
Tam zakołatał do wiejskiej zagrody
Z brzaskiem ostatnich już promieni słońca.

O! tak, ostatnie tam u progu chatki
Już dogasały nadziei odbłaski
Dla nieszczęśliwej, zrozpaczonej matki,
Która widziała konające dziecię,
Córkę jedyną w samym wieku kwiecie!
Mąż jej, obyczaj zachowując stary,
Palił na górze bałwanom ofiary.

Wojciech przy chorej upadł na kolana
I wzywał dla niej miłosierdzia Pana,
A przeżegnawszy ją, do matki rzecze:
— Córka twa wyjdzie z tej ciężkiej niemocy.
— Oby sprawili to wielcy bogowie!
— Jedyny Bóg tylko ma nade mną pieczę
Ona powstanie z Jego tylko mocy!
Matka uczuła pociechę w tem słowie,
I padł w jej duszę — jak brzask rannej zorzy
Po cieniach nocy — promień łaski Bożej!

Gdy wszedł z jej mężem córki narzeczony —
Woła, by przynieść otuchę ich sercu:
— Ach! co powiada gość przybyły z dali,
Że Bóg jedyny dziewczkę nam ocali! —
— Jakżeż — zawoła ciężko zasmucony
Ten, co miał stanąć na ślubnym kobiercu,
Młody Wizymir — jakże to być może?
Gdy tyle bogów jej nie poradziło,
Jakążby mogła ona powstać siłą?
— Jaką? — rzekł Wojciech — Twoją wielki Boże!

*) 23 kwietnia Kościół nasz święci pamięć św. Wojciecha, biskupa praskiego rodem z Czech, który krzewił gorliwie wiarę chrześcijańską w Czechach, Węgrzech, w okolicach Krakowa, na Szląsku, wreszcie na Pomorzu dokąd został powołany przez Bolesława Chrobrego dla nawracania Prusaków. Tam też dnia 23 kwietnia w okolicach dzisiejszej Pilawy poniósł śmierć męczeńską w r. 997. Wśród ludu krążyło zawsze wiele podań o św. biskupie, a jedną z nich z powodu przypadającej w tych dniach rocznicy, pomieszczamy.

I znak uczynił krzyża nad dziewczicą...
Zarumieniło się wybladłe lico,
Dogasające prawie martwe oczy
Nagle rozjaśnił blask życia uroczy,
I wstaje silna, rumiana i zdrowa,
I płyną Bogu z ust dziękczynne słowa!

I uwierzyła nie tylko dziewczyna,
Lecz wraz z nią cała obecna rodzina
Zaczęła chwalić prawdziwego Boga.

Na wieść o cudzie biegnie ludność mnoga...
Wszyscy Wojciecha otaczają radzi.
On ich na górę świątyni prowadzi,
Gdzie bożkom jeszcze palono ofiary,
I na ofiarnym stanawszy kamieniu,
Mówi z zapalem im o odkupieniu,
O Stwórcy w niebie, o świętości wiary!...
I tam zostały mocno wyciśnięte
Na martwym głazie stóp tych ślady święte.
I ten to kamień dowód Bożej łaski,
Przyświeca dzisiaj katedrze wrocławskiej.

Mowa Wojciecha na górze opolskiej
Zwraca Szlązaków do Pana nad Pany.
Natychmiast kruszą posążki, bałwany,
I tam, gdzie była pogańska bożnica,
Staje świętego Wojciecha kaplica. K. A.



BŁĘKITNA WSTĘGA.

Powieść z XVII wieku
przez Z. Morawską.

(Dalszy ciąg).



śmiechnął się i król, gdy zasiadłszy na drugi dzień do wieczerzy, ujrzał cały stos onych pierożków. Zwracając się też do siostry, siedzącej po jego prawicy, rzekł:

— Przypomnienie lat dziecięcych; czy będziemy się o nie sprzeczać, jak ongi, a przedewszystkiem, czy nam będą tak smakowały?

Lecz zaraz wzrok jego padł na złotą, z pięknym haftem siatkę, którą stoł przed nim był pokryty, rzekł więc:

— Cóż to za misterna robota!

— To Kornelka takich pięknych robót się wyuczyła! — objaśniła Anna.

— Tarłówna, ta maluśka? — spytał król, przypominając sobie jasnowłosą ulubienicę królowny.

— Wcale już teraz słuszną — odrzekła siostra.

A biskupowi Przemyskiemu, siedzącemu po prawej ręce królowny, przypominały się trafne odpowiedzi dziewczęcia, gdy ją z katechizmu egzaminował, ozwał się więc:

— Najmiłościwsza pani wychowała sobie wielce wdzięczną dwórkę.

Książę Holszański zaś, przypuszczony do królewskiego stołu i siedzący po lewej stronie monarchy, skorzystał z onej rozmowy i wtrącił:

— Najmiłościwsza pani dla swoich dwórek jakoby matka, a teraz i moją córkę przyjąć raczyła.

Król, że to był dobrego serca i każdemu lubił coś przyjemnego powiedzieć, a dla Holszańskiego, jako przyjaciela domu Jagiellonów, miał pewne względy, rzekł więc:

— Miło nam będzie ją ujrzeć.

W tem rozwarły się podwoje i z sąsiedniej komnaty ozwała się pieśń:

A by ucześć twą wielką dostojność,
Jako umiemy, hołdy ci składamy,
Lecz zbyt uboga wszelka nasza hojność
Boć pieśnią jeno witamy!

Król wielce się lubował w muzyce, z nadzwyczajną też uwagą przysłuchiwał się śpiewom, wśród których przegrywki: wesołe brzmiały dziwnie melodyjnymi dźwiękami; znać było mistrza, który je układał i wiódł mieszane głosy męskie i dziewczęce w dobranym chórze.

Lecz nad wszystkimi górował dźwięki fletni, jakby oddalone a tęskne, ślaniając się, niepewne a wielką prostotą i szczerością brzmiące. Śpiew przebrzmiał, umilkła i fletnia lecz zdawało się, że dźwięki jej jeszcze ślaniają się w powietrzu, że przyłgnęły do stropu starej komnaty lub w sercach słuchaczy wciąż drgają.

Zrobiła się cisza, nikt wszakże jej nie przerywał, bo król w zamyśleniu zdawał się ostatnie wyrazy pieśni, czy też muzykę rozważać.

Ocknął się wszakże i spytał:

— Zkądżeś, siostró kochana, wyszukała takiego muzyka?

— Muzyk to przygodny, paż nasz, Mikołaj Gomołka, samouk, który dni całe trawiłby przy organach, lub na dęciu w piszczałkę — odrzekła uradowana królowna.

— Ależ to Bekwark, drugi Bekwark *) a może go i przejdzie... chociaż ten w innym rodzaju... — mówił król z zachwytem.

I wstawszy od kończącej się już wieczerzy, szedł do komnaty, której drzwi będące naprzeciw wielkiego stołu, teraz zasłonięto oponą.

— Zamknięto nam drzwi przed nosem! — rozśmiał się król.

— Inną niespodziankę zapewne nam gotują — rzekła Anna coraz więcej rozradowana.

Wtem odsłonięto znów oponę.

— Wolno nam już chyba wejść! — zartował dalej monarcha.

I przestąpiwszy próg, stanął nagle.

Nad przygotowanym bowiem dlań wzniesieniem, zwieszona była znana nam już makata. Stanął i chwilę jej się przypatrywał.

Wszyscy wstrzymali oddech, nie wiedząc, jaką będącą na niej podobizna robi na nim wrażenie.

Annie zaś przez myśl przebiegło:

— Jakżem nierozważna, że na zawieszenie tej makaty pozwoliła!

Nagle wszakże król potarł czoło, jak gdyby chciał myśł z niego spędzić, westchnął, wszedł na przygotowane dlań wzniesienie i z wielkim spokojem począł przypatrywać się ułożonemu z żywych osób obrazowi.

Obraz ten przedstawiał stajenkę a w niej Dzieciątka Jezus, otoczone aniołami. Przed stajenką klęczeli pastuszkowie, z głębi zaś, z za stajenki ozwała się kolenda:

Bóg się rodzi, moc truchleje.

Z początku brzmiały tylko dwa głosy, jako ptaśzka budząca ludzi do przyjęcia Dzieciątka Jezus — potem do tych głosów przyłączało się coraz więcej, aż przyłączyli się i klęczący przed stajenką pastuszkowie i zabrzmiał chór cały:

— Spójrz na nas Boże Dziecię,
Błogosław krainę miłą,
Niech żyje w łask Twych rozkwicie, *)

Ostatnie wyrazy rozbrzmiewały długą, bardzo długą nutą, kończył je bowiem znów dźwięk fletni echem przeciągłym.

Potęga pieśni oddziaływała na króla, czoło jego coraz więcej się rozpogadzało, a gdy przebrzmiały ostatnie dźwięki, król nachylając się do siedzącej obok siostry, przyciszonym głosem powiedział:

— Dzięki ci, dzięki Anulko — wywołałaś we mnie bardzo miłe uczucia!

I zaraz rzekł głośno:

— Artystów, prawdziwych artystów siostra nasza ma na swoim dworze, boć oto widzę i dwaj aniołowie zakłęci zostali w obrazie nade mną, jeno jednemu skrzydeł zapomniano dodać.

Aniołami zaś, roztaczającymi skrzydła nad stajenką była Zofka i Kornelka.

Zofka nie zadowolona była, że król nie wspominał nic o jej podobieństwie do Barbary, pamiętna wszakże swej roli, tak samo jak i Kornelka nie poruszała się z miejsca. Król zaś mówił do bliżej stojących:

— Nad wszystkim wszelako góruje pieśń ona, radziibyśmy też poznać jej twórcę, jako i twórcę onego obrazu — dodał, wskazując ręką za siebie, lecz nie odwracając się wcale.

Zaraz też stanęli przed nim Mikołaj i Jacek.

— Pięknym talentem udarowała was Opatrzność.

Młodzieńcy skłonili się w milczeniu, król zaś szepnął coś siostrze, a ta z rozradowaniem obliczem rzekła do swych paziów:

— Podziękujcie najmiłościwшему panu, obaj jesteście zaliczeni do jego dworu.

(d. c. n.)

B. Dyakowski.

Ciekawsze motyle krajowe.

(Dalszy ciąg).

Ladna ta i okazała éma znajduje się u nas prawie wszędzie, ale wszędzie jest dość nieliczna. Lata w jesieni o zmierzchu, poszukuje głównie słodkiego soku, wyciekającego z drzew poranionych. Spija także miód z kwiatów, może jednak korzystać wyłącznie z tych, które nie mają zbyt głębokich koron, posiada bowiem nadzwyczaj krótką trąbkę i nie może nią sięgnąć zbyt daleko.

Wieczorami wlatuje nieraz przez otwarte okna do pokoi, wzbudzając przestraszy u osób tchórzliwych, tłucze się bowiem z hałasem o ściany, a pedzona lub przestraszona, wydaje głos, który przypomina nieco pisk myszy. Głos ten może istotnie niejednego przestraszyć i stać się powodem zabobonów, wiadomo bowiem, że wszystkie motyle są nieme i nie umieją wcale się odzywać.

Trupia główka zawdzięcza swą zdolność temu, że posiada wewnątrz ciała duży pęcherz, który napętnia powietrzem a następnie wypuszczając je przez trąbkę, wydaje ten piskliwy dźwięk. Przekonano się

*) Bekwark sławny lutnista na dworze Zygmunta Augusta.

*) Ze starodawnych kantyczek.



Fig. 4. Prządka towarzyska, liszki idące na żer oraz gniazdo utworzone z oprzędu, z opadłymi skórkami gąsienic. (wielkość naturalna).

o tem, zaklejając złapanym ćmom otwór trąbki; stawały się one wówczas nieme zupełnie tak samo, jak wszystkie inne motyle. Zdolność wydawania dźwięków posiadają jeszcze niektóre inne gatunki zagrańnicze; z krajowych żaden oprócz trupiej główki.

Gąsienica (fig. 3 n. 3) tej ćmy jest wielka, gruba, gładka, z zagiętym rogiem na końcu ciała; barwę ma zielonkawo-żółtą w drobne, ciemno-błękitne kropki i jaso-błękitne czarno i białe obwiedzione, ukośne przepaski. Żywi się ona liśćmi kartofli oraz niektórych chwastów, ale że nigdy nie zjawia się licznie, nie zrzadza więc szkód na polach. Przed końcem jesieni zagrzebuje się w ziemię i tam przekształca się w dużą, brunatną poczwarkę (fig. 3 n. 3). *)

Trupia główka nie należy wcale do szkodliwych motyli, chociaż liszki jej jedzą liście rośliny uprawnej. W niektórych atoli okolicach sama ta ćma może stać się uciążliwą przez to, iż jest wielką amatorką miodu i jeżeli znajdzie odpowiedni otwór, zakrada się nocną porą do uli i wypija tam miód z plastrów. Jak zaś dużo może wypić, przekonano się z tego, iż w wolce trupiej główki, która świeżo odwiedzała ul, znajdowano po pół łyżeczki miodu. Całe szczęście, iż niema nigdzie zbyt licznie tych ciem, i że na ogół otwór w ulach bywa zbyt mały, aby mogły się one dostać przezeń do środka, inaczej bowiem dawałyby się bardzo we znaki pszczołom.

Trupia główka czasami tylko staje się szkodliwą, ale za to bezwzględnie nadzwyczaj niebezpiecznym szkodnikiem jest mała ćma, zwana prądką towarzyską (fig. 4). Sama przez się nie odznacza się ona niczem szczególnie, ma przednie skrzydełka zielonawo-szare w czarne prążki, tylne białawo-szare, słowem jest bardzo pospolita, taka, jakich tysiące można spotkać na każdym kroku. Liszka jej w powierzchowności swojej nie ma również nic osobliwego, zasługuje natomiast bardzo na uwagę, zarówno dla swych obyczajów, jak i dla wielkiej szkodliwości.

Nosi ona bardzo słusznie miano towarzyski, trudno bowiem o gąsienicę o bardziej towarzyskim

usposobieniu, jak te. Mieszkają one na dębach w gnieździe, sporządzonym z oprzędu, splecionego wspólnymi siłami i mieści się ich tam razem po paręset i więcej. Nie dość jednak na tem: wypocząwszy tak razem przez dzień cały, wyruszają one wieczorem na żer, również gromadą (fig. 4), przyczem jedna, niby wódz lezie na czele, a inne posuwają się za nią sznurem, albo po kilka razem w szeregu, jak żołnierze w dobrze wyćwiczonej armii. Objadłszy jedno drzewo, przenoszą się na inne, zawsze w porządku i ordynku. Żerują jednak tylko w nocy; nad ranem w takim samym szyku wracają do gniazda na dzień wypoczynek.

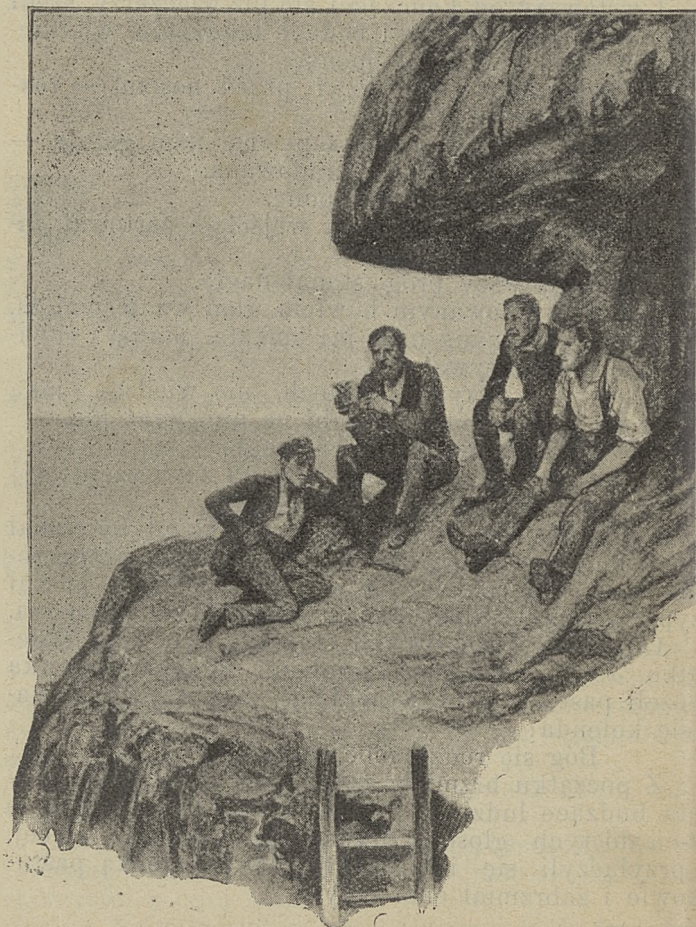
(d. c. n.)

Maks Semberton.

Pałac w głębi oceanu.

(Dalszy ciąg).

Słuchałem ze wzruszeniem opowiadania starego i patrzałem na dziewczynki, które uśmiechały się wdzięcznie do pocziwego Clair de-lune, gdyż jemu zawdzięczały nie tylko życie, ale cały swój byt na wyspie. Nikt im nie przeszkadzał, mówił stary, i bardzo temu wierzyłem, gdyż rozbójnicy brali ich zapewne za istoty nieziemskie, za rodzaj duchów leśnych. Rozumiałem, co mówił, oprócz jednego zdania: Co znaczy pałac pod morzem, przecież niema ludzi, którzyby byli w stanie wznieść jakikolwiek



*) p. nr. 14-ty Wieczorów str. 120.

budynek na dnie oceanu. Chciałem go zapytać, lecz zawołano nas do posiłku i zasiedliśmy dokoła pieczeni cielecej, którą właśnie zdejmował z ognia nasz uprzejmy gospodarz. Podczas gdy zajadaliśmy z apetytem, zbliżyła się do mnie Rozamunda i zaczęła rozmowę, nie szło nam jednak jakoś, bo dziewczynka znała zaledwie kilka wyrazów angielskich, ja zaś nie rozumiałem jej języka.

— Jak ci się wyspa podoba moje dziecko, i jak się wam tu powodzi? zapytałem.

Potrząsnęła główką i odrzekła po chwili.

— Lubię ją w miesiącu słonecznym, ale nie w czasie snu. Ale wy odpłyniecie, zanim nadejdzie czas snu?

— Nie wiem, to będzie zależało od pana Jakóba i okrętu, Jeżeli byśmy jednak nie mogli odpłynąć, cóż nas czas snu obchodzi?

płyniemy. Nie kłopotuj się moje dziecko o starego marynarza, który sobie jakoś dotychczas dawał radę w życiu. Zresztą w ostatecznym razie zastosujemy się do okoliczności. Przecie i tu ludzie żyją, naprzykład pani Czerny. Czy znasz panią Czerny?

— Tak, rzekła, znamy panią Czerny, to żona pana i mnie się zdaje, że bardzo nieszczęśliwa. W miesiącu słonecznym widzimy ją często, ale w czasie snu mieszka sama w pałacu pod morzem, i nikt jej nie widzi. Czy pan ją dobrze zna i czy pan wie, że ona jest nieszczęśliwa.

Od wczoraj byłem mocno przekonany o nieszczęściu Maryi Bellenden, ale chcąc się od dziewczynki dowiedzieć czegoś nowego, powiedziałem, że niesłyszałem o niczym.

— Z jakiego powodu jest nieszczęśliwa? Na czymże jej tu zbywa?



Kolej napowietrzna w Paryżu (str. 139).

— Musicie odpłynąć! zawołała żywo. Tu zostać nie możecie. My co innego, my mieszkamy w pałacu pod morzem, ale pan obcych nie przyjmie do pałacu, a na wyspie wszyscy śpią. Jeżeli byście zostali na wyspie... ale musicie, musicie koniecznie odpłynąć!

Mówiła w dziecinny sposób to samo, co nam stary Francuz wczoraj opowiadał. W głowę zachodziłem, co to wszystko znaczy. Zdaje się, że pod nogami mamy zwykłą ziemię, na której rosną zwykłe drzewa, chociaż zamieszkują naprawdę niezwykle nikczemni ludzie, ale nawet w najgorszym rozbójniku niema nic nadprzyrodzonego, a tu opowiadają bajki z tysiąca i jednej nocy! Co znaczą miesiące słoneczne i czas snu? Nie dziwcie się, że jako człowiek trzeźwy i rozsądny ze śmiechem odpowiedziałem dziewczynce:

— Nic mnie te wszystkie czary nie obchodzą, ale zanim nadejdą, mam nadzieję, że daleko stąd od-

Mówiłem głosem spokojnym, ale mała domyśliła się widocznie, że jej nie mówię prawdy, bo rzekła po chwili namysłu.

— Jeżeli pani Czerny jest szczęśliwa, to poco pan tu przyjechał? Ja bardzo dobrze wiem, pan przyjechał jej dopomódz, a nie chce się teraz przyznać.

— Więc dobrze, nie mówmy o mnie, kiedyś ci wszystko opowiem. Chciałbym się dowiedzieć czegoś o panu Czerny, jaki on jest dla żony, jaki dla was, powiedz mi szczerą prawdę?

Spojrzała na mnie swojemi wielkimi oczami, jak gdyby niezupełnie rozumiała pytania.

— Pan się ze mnie śmieje. Pan Czerny popłynął w świat na okręcie, a jaki jest dla nas? Czasem dobry, czasem okrutny, raz go kochamy, znowu nienawidzimy. On jest panem, a my go musimy słuchać. Jak powróci, to i pan będzie musiał go słuchać. Nastąpi to w czasie snu za jakie ośm, dziewięć, dzie-

sięć dni. Ale dlaczego pan mnie pyta? Przecież pan jest jej przyjacielem. Czyż pani Czerny nie panu nie mówiła?

Nie więcej nie potrafiłem z niej wydobyć, ale i to wystarczało, aby mi dziwnych myśli napędzić do głowy. Więc Czerny odpłynął, mieszkańcy wyspy kochają go i nienawidzą naprzemiany, czas snu nastąpi za dziesięć dni a więc za dziesięć dni najdalej powinniśmy się znajdować na okęcie, inaczej coś nam się straszno przytrafi. Niedola Maryi Bellenden znaną była nawet tym małym dziewczynkom, które się domyślały, a więc i inni wiedzieli, że przybyliśmy tu tylko na pomoc mojej biednej pani, zatem mieszkańcy wyspy Ken dniem i nocą będą nas ści-gali. Co do tego nie myliłem się wcale. Zaledwie skończyliśmy śniadanie, a raczej obiad, rozległ się wystrzał armatni, zerwaliśmy się na nogi, pierwszy Clair-de-lune skoczył ku drabinie. Niebawem drugi wystrzał odpowiedział mu z morza. Dziewczęta zniknęły w jednej chwili między skałami, a my pospieszyliśmy na szczyt, dźwigając drabinę, której stary Francuz potrzebował.

— Co to znaczy Clair-de-lune? Dlaczego strzelają? pytałem biegnąc za nim?

— Pan wraca, odrzekł zadyszany, pan wraca, wielkie niebezpieczeństwo!

X.

Jesteśmy uwięzieni na wyspie Ken.

Biegliśmy co sił na szczyt góry, napotykając trudne przejścia, strome przesmyki i bezdenne przepaście, ale nasz przewodnik na nic nie zważał i prowadził nas coraz dalej i dalej, aż nareszcie okrążyliśmy najwyższy cypel skały i ujrzelśmy od strony morza rodzaj groty a raczej małej platformy, którą oceniały nawieszane głazy. Stary Francuz zatrzymał się po raz pierwszy.

— Przyjaciele, rzekł, tu koniec naszej drogi, tu was nikt nie znajdzie, jesteście bezpieczni. Ja muszę zejść do pana, ale niedługo wrócę z chlebem i mięsem.

Byliśmy tak zadyszani, że żaden z nas nie mógł wymówić ani słowa. Patrzaliśmy na ową platformę, i myśleliśmy ze strachem, że tu nam wypadnie długie godziny, a może nawet wiele dni przepędzić. Pod nogami mieliśmy przepaść, nad głowami ścianę skalistą, a ze wszystkich stron otaczał nas bezmiar oceanu, i fale rozbijały się z hukiem ogłuszającym o rafy koralowe. Wiatr wył i jęczał w rozpadlinach skalnych, grożąc, że przy każdym gwałtowniejszym podmuchu zmiecie nas z naszego schronienia.

Pięć dni spędziliśmy nad przepaścią bezsennie, wypatrując okrętu, a co wycierpieliśmy przez ten czas, o tem wolę nie wspominać. Poczciwy Clair-de-lune i dziewczynki codziennie przynosiły nam posiłek i wiadomości z wyspy, ale piątej nocy nikt nie przyszedł, a gdy słońce zaszło i oświetliło krajobraz, zrozumieliśmy, że już więcej nie przyjdą.

— Wiecie chłopcy, rzekłem stało się jedno z dwojga, albo Czerny ich wypatrzył i teraz pilnuje, albo nadszedł czas, o którym nam mówiono. Staremu francuzowi wierzę, jak rodzonemu bratu, i jestem pewny, że gdyby nie ważna przyczyna, nie zostawiłby nas tutaj bez odrobiny pożywienia. Musiało coś niezwykłego zająć na wyspie.

Dolly słuchał uważnie, a potem rzekł:

— Tej nocy, jakem czuwał, słyszałem dzwonienie na wyspie. Z początku myślałem, że to przywidzenie, że wiatr szumi w skałach, albo morze rozbija się o brzegi, ale później odgłos doleciał mnie wyraźny i widziałem światło w stronie rafy koralowej.

Widocznie łodzie płynęły, w tym kierunku: widziałem także światło wychodzące jak gdyby z pod morza, rozchodziło się ono daleko i w jego blasku dojrzałem ludzi, którzy się uwijali na skałach, i nagle, kiedy wszedł księżyc, zniknęli, jak gdyby się zapadli pod ziemię. Pan mi nie wierzy, ale na pewno widziałem, co mówię i jeżeli Clair-de-lune nie przyjdzie przed nocą, to zejźmy na dół, a sam się pan przekona.

Chłopak mówił jak przez sen, a znając przesądną naturę marynarzy, nie dziwiłem się, widząc, że towarzysze słuchali go jak wyroczni. W innych okolicznościach byłbym mu powiedział: Moje dziecko śnisz na jawie! ale dziś widziałem, że ma słuszość, gdyż potwierdził to dziennik Maryi Bellenden, który miałem w kieszeni.

Jeżeli człowiek widzi rzecz nadzwyczajną, powinien zadać sobie najpierw pytanie, czy się owa rzecz zgadza z przyrodą, czy nie. Ileż to widzimy zjawisk prawdziwych, których sobie jednak nie umiemy wytłomaczyć. Na wyspie Ken pełno jest takich zjawisk. Stary Francuz mówiąc o czasie snu i o miesiącach słonecznych, mówi prawdę, a dowód na to mam w papierach, które mi Marya Bellenden dała pięć dni temu.

Wyjąłem zwitek i otworzyłem kartki, które już tyle razy przebiegałem wzrokiem i rzekłem:

— To są dzieje wyspy Ken, spisane przez moją panią: dziesięć miesięcy temu wylądowała tutaj, a co przez ten czas wycierpiała, o tem nie mówi wcale, bo jako dzielna kobieta nie chce się skarżyć. Jedno tylko rozumiałem z jej dziennika i tego przed wami nie będę ukrywał: Oto Edmund Czerny osiadł na wyspie Ken, aby sprowadzać okręty w zasadzkę i bogacić się ich łupem. Jednem słowem dostaliśmy się między piratów!

Nie było to dla nich niespodzianką, gdyż Santa Cruz" przy nich zatonął, jednak spojrzeli uważnie po sobie, a Piotr Bligh wtrącił, zapalając fajkę:

— Porządna kompania, niema co mówić!

— Dostaliśmy się między piratów, którzy rabują okręty, a załogę mordują. Daj Boże, abym kiedyś był w możności rzucić prawdę w oczy Edmundowi Czerny, ale tymczasem chodzi nam o właściwości wyspy Ken, Clair-de-lune mówił nam o czasie snu i czasie słonecznym i mówił prawdę.

Żaden nic nie odpowiedział. Daleko w dole połyskiwało morze w promieniach wschodzącego słońca i fale spokojnie rozlewały się na brzegu. Wiatr ucichł i taka cisza zalegała w powietrzu, że słysząc było wyraźnie oddech każdego z nas.

— Czas snu i czas słoneczny, to się wydaje bajką ale Marya Bellenden powiada, że tak jest istotnie. Przeczytam wam jej słowa.

Piotr Bligh zawołał a! i potarł zapalną, Jan Barker, stolarz, siedział z ustami otwartymi, jak dziecko, a w oczach jego malowało się zdziwienie, Dolly wyciągnął się tuż przy mnie. Otworzyłem zeszyt i zacząłem czytać.

(d. c. n.)

Czego się nauczyłam na wystawie łódzkiej.

Dermatoid. — Fabrykacja cukru.
Sztuczny lód.



Bochane Wieczory! Kiedy znalazłam list mój wydrukowany w Wieczorach, taka mnie ogarnęła radość, że po prostu nie mogłam zapanować nad sobą. Skakałam po pokoju, klaskałam w ręce, rodzice i p. Stanisława w głos prawie śmieli się ze mnie i mama powiedziała:

— O, tej warto zrobić przyjemność, przynajmniej szczerze cieszyć się umie.

— Ale jak tu nie cieszyć się, kiedy kogoś spotka taki zaszczyt, że go wydrukują!

Podobno zle zawsze przychodził w parze, ale czasem i dobre, bo zaraz tego samego dnia dowiedziałam się, że nazajutrz pojedziemy znów do Łodzi, aby p. Stanisława obejrzała wystawę. Od wczoraj śnieg gęsto sypie, już ślicznie biało dokoła. Ziemia jak puchem grubo zasłana, zatem pojechać mamy sankami aż na samo miejsce. Nie umiem nawet wypowiedzieć, jak lubię sanne! Kiedy usłyszałam tę nowinę, zaczęłam ścisnąć, całować naprzemian mamę, tatusia, p. Stanisławę, aż mamusia powiedziała:

— No, już dosyć, dziewczyno, bo nas zadusisz!

Przy pacierzu tak cichutko sobie westchnęłam, żeby śnieg nie stał przez noc, albo coś niepotrzebnego nie pokrzyżowało projektów, jak to się często zdarza, gdy ktoś cieszy się na coś. Ale dzięki Bogu wszystko było dobrze, i na drugi dzień o świcie wyruszyliśmy we trzy z domu, t.j. mama, p. Stanisława i ja.

Mama pozwoliła mi usiąść obok stangreta, naszego starego Wojciecha i powozić, a ja to tak lubię, tak lubię! Jechaliśmy po „kawalersku” jak mówił Wojciech, a mamusia upominała na wszystkich skrzętach.

— Tylko nas w rów nie wysyp, Polciu, i raz co prawda o mało co nie wywróciłam, ale Wojciech w czas jeszcze schwycił lejce, skręcił i w ten sposób obyło się bez przygody.

Ale ja tu piszę tak długo o rzeczach, które wcale nie należą do wystawy, za co bardzo przepraszam. Już zaraz zacznę o czem innem, tylko chciałam koniecznie opowiedzieć kochanym Wieczorom wszystko od początku.

Kiedy zajechaliśmy na wystawę, poszliśmy zaraz na drugie piętro, gdzie miała swój bufet mleczarnia „Rogów.” Napiliśmy się wybornej kawy, do tego zjadliśmy po dwie bułeczki z masłem. Ja taką miałam ochotę zjeść jeszcze więcej, ale mama radziła, aby schować resztę apetytu na skosztowanie kiełbasek parowych, nagrodzonych medalem.

Najpierw zatrzymaliśmy się przy kiosku fabryki Grohmana, która wystawiła nowy wyrób, tak zwany „Dermatoid.” Wygląda to zupełnie jak skóra śliczna kolorowa, wytłaczana w najprzeróżniejsze desenie, na wzór sławnej hiszpańskiej skóry kordubańskiej, (cuir de Cordoue) tymczasem to wyrób bawełniany łódzki. Używają go na obicie ścian, oprawę książek, na wyrób tek, kufrów i torb podróżnych, a nawet na pokrycie mebli, na fartuchy dla lekarzy, służby szpitalnej jednym słowem wszędzie tam, gdzie zależy na wielkiej czystości. Dermatoid ma bowiem tę zaletę, że nie jest porowaty, więc nie wsiąkają w niego tłuszcze, kurz, zarazki; można go przytem zmywać gorącą wodą z mydłem, a materya nie traci koloru, ani połysku. Podobne materyały robiono już w Austrii i w Niemczech, tylko pod inną nazwą, ale Dermatoid jest dziełem pomysłowego inżyniera Polaka. Za granicą są już nawet niektóre wagony wyklejone czy wybite dermatoidem i bardzo to podobno ładnie wygląda.

Stamtąd poszliśmy obejrzeć cukier, wystawiony przez fabrykę Leśmierz, położoną o kilka mil od Łodzi. W kiosku przybranym bardzo estetycznie w festony z lodowatego cukru i maleńkie główki cukrowe, obwinięte w kolorowe papiery, stały długim szeregiem stoje szklane, jeden obok drugiego, a w nich przedstawiony naocznie cały proces wyrobu cukru, zacząwszy od buraka, a skończywszy na białym kryształce. Starannie opłukany burak przechodzi z płuczkar-

ni do krajalnic, gdzie noże mocne i ostre krają go w mgnieniu oka na drobne paseczki; te znów idą przez rury do tak zwanych „dyfuzorów” t.j. wielkich naczyń metalowych, hermetycznie (szczelnie) zamkniętych, w których wygotowuje się z buraków wszelka słodycz i pod postacią soków przechodzi z jednego warnika do drugiego, póki przez gotowanie, filtrowanie nie oczyści się z rozmaitych niepotrzebnych składników, jak kali, natron, amoniak, różne sole i t. d. i z brunatnego nie robi się gęsty, przezczysty syrop, tak zwany klers.

Klers dostaje się do wielkiego, kulistego, miedzianego aparatu, który nazywa się wakuum i tutaj znów gotuje się tak długo, póki nie wyparują wodne części i nie zaczną tworzyć się drobne kryształki. Wówczas wykładają masę do pudeł blaszanych; tutaj odcieka pozostały syrop i dokonywa się krystalizacya, a cukier wygląda, jak żółtawy piasek. Otóż piasek ten słodki wysypują do centrifyg, czyli wirówek, t.j. maszyn, które obracają się nadzwyczajnie prędko, i po upływie niespełna pół godziny z żółtego robi się cukier śliczny, biały. (W ten sam sposób oddziela się w centrifydze śmietana od mleka dzięki sile odśrodkowej.) Jeżeli z tego białego piasku chcą zrobić rafinadę, czyli twardy cukier, taki, jaki jest w słowach, w takim razie rozpuszczają go w wodzie, starają się o ile możności jeszcze więcej odbarwić za pomocą węgla kostnego, krwi, siarki, potem dosypują ultramaryny t.j. niebieskiej farбки, (takiej samej jak do bielizny) dla nadania niebieskawego odcienia i znów wlewają syrop do wakuum, gdzie gotuje się, aż do chwili, kiedy zaczną tworzyć się kryształki. Wtedy wylewają gęsty płyn do form blaszanych w kształcie głów cukru, pomalowanych zewnątrz olejną farbą, i tutaj cukier powoli stygnie i tęższe.

Następnie obejrzałyśmy sztuczny lód i podziwialiśmy jego nadzwyczajną czystość i przejrzystość. W środku bryły lodowej był zamrożony bukiet żywych kwiatów, co bardzo ładnie wyglądało, bo kwiaty były zupełnie tak, jak gdyby przed chwilą zerwane i nic nie utraciły na świeżości.

Z jednego kranu szafy na lód odpływała woda z rozpuszczonego sztucznego lodu, a z drugiego z naturalnego. Lód sztuczny rozpływał się w wodę czystą jak łza, gdy tymczasem od naturalnego odpływała woda zupełnie brudna. Ileż tam pewno było zarzków szkodliwych! Nie powinno się zatem nigdy kłaść naturalnego lodu do wody, chłodnika, kruszonu, jak to robią niektórzy w lecie, gdyż w ten sposób można sobie sprowadzić ciężkie choroby.

Odkładając resztę ciekawych wiadomości do następnego listu, przesyłam szanownej redakcyi wyrazy poważania.

P. Raj.

ZE ŚWIATA.

Kolej napowietrzna w Paryżu (z ryc.) Paryż za przykładem innych wielkich stolic, jak Londyn, Berlin, New-York, buduje kilkanaście linii kolejowych miejskich w różnych kierunkach, aby mieszkańcy mogli szybko i za małą zapłatą przejeżdżać z dzielnicy do dzielnicy. Koleje te w niektórych miejscach przechodzą pod ulicami w tunelach, w innych zaś wysoko nad ulicami; tę część kolei miejskiej, gdzie wiadukt wije się wężowo wzdłuż bulwarów, przedstawia właśnie nasza rycina. Kiedyż w Warszawie doczekamy się podobnej komunikacji! Wówczas nasi roznosiciele mogliby daleko szybciej dostarczać „Wieczory” swym czytelnikom, nawet w najdalszych dzielnicach miasta.

ZADANIE KONIKOWE.

nim	tki	wa	pio	skar	był	ste	wa
a	run	ga	mię	po	a	ko	sem
a	fy	cza	mo	jak	mi	gło	pieśń
ja	łów	cza	dzi	po	ja	cza	o
sem	Cho	kny	sem	wa	stko	jako	śli
nio	sny	gię	co	sem	my	to	wszy
tki	pię	ki	jak	wie	ję	cza	tny
pręd	a	po	zyk	a	smu	dział	aby

ROZWIĄZANIA DO N-ru 14-go.

Szarady: Je — ro — zo — li — ma.

Łamigłównki kropkowanej:

P a n T e r a
 L e l e w e l
 G ł u s z e c
 D r e t w i k
 S u m a t r a
 S t a m b u ł
 W e n e c y a
 O d y n i e c
 K o n t u s z
 M ł o d o ś ć
 M a n z o n i
 K a p i t a n
 I r a w a d i
 W i l a n ó w
 K a l k u t a
 L i t a w o r

Od Redakcyi.

Nasz konkurs rysunkowy. Na zapytania w sprawie konkursu, ogłoszonego w N. 14-ym. „Wieczorów” odpowiadamy: Józiovi C., Zosi D., Apellesowi i Boa z Przyłuk, 1) że tym razem jest to konkurs na rysunki jednokolorowe, wykonane ołówkiem, tuszem, piórkiem, kredą, węglem i t. p. W przyszłości, jeżeli się ten konkurs uda, ogłosimy inny na akwarelle, obrazki olejne i t. p.

2) że do konkursu mogą stawać i samouczki, którzy żadnych specjalnych lekcji nie brali, prosimy tylko wszystkich, aby zaznaczyli, czy uczyli się rysunków, czy nie.

Jeżeli konkurs się powiedzie, to oprócz Wiesława, przeznaczymy jako nagrodę 11 kartonów Artura Grotgera, z cyklu „Wojna” w dużym formacie.



Pogromczyni wilków. Wilki należą do rzędu najdzikszych i najtrudniejszych do opanowania zwierząt, a jednak umiejętnością, stanowczością i rozumną dobrocią — pewna pogromicielka zdołała pięciu wilków tak obłaskawić, że chociaż nie nauczyły się żadnych sztuk, ale zachowują wzajemną zgodę i posłuszeństwo swoje posuwają tak daleko, iż nietylko nie gryzą się między sobą; piezczą swoją panią, lecz nie tykają wcale baranka, który wraz z niemi żyje w klatce.

Ale jest przysłowie, które powiada: „natura wilka ciągnie do lasu,” to też słynna pogromczyni trzyma się zawsze na ostrożności i niedowierza w zupełności swoim wychowankom. W każdym razie jest to wielkie zwycięstwo rozumnej woli nad dzikimi instynktami.

SZARADA.

E. L.

Pierwsze jest wykrzyknikiem, *drugie* zaś wspaniale, bywa Cudne, kiedy je zboże faliste pokrywa.

A *wszystko* wraz ku Bożej obmyślane chwale,
 I w głosach, i w muzyce brzmi równie wspaniale.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE: rocznie z odnoszeniem do domu rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna — miesięcznie w Warszawie kop. 35.

Cena ogłoszeń: za wiersz petitowy, jednoszpaltowy lub jego miejsce — 12 kop.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

TREŚĆ: Sławni muzycy z pierwszej połowy XIX w. (z ryc.) — Kamień św. Wojciecha w katedrze Wrocławskiej, wiersz — Błękitna wstęga, powieść z XVII wieku przez Z. Morawską. — Ciekawsze motyle krajowe, przez B. Dyakowskiego (z ryc.) — Pałac w głębi oceanu, przez Maksa Pemberton (z ryc.) — Czego się nauczyłam na wystawie łódzkiej. — Ze świata: (z ryc.) Kolej napowietrzna w Paryżu i pogromczyni wilków. — Łamigłównki i rozwiązania. — **Dodatek.** Ryba, która chodzi po ziemi, (z ryc.) — Miłość dziecięca, wiersz przez E. L. — Wyprawa Jadzi. — Warsz i Sawa, sztuka w trzech aktach przez Annę Młodowską. — Łamigłównki i rozwiązania. — Skrzynka do listów.

Bezpłatny dodatek książkowy: Wielkie cele, powieść dla młodzieży przez Irenę Mrozowicką.

Redaktorka Ludwika Hauke. Дозволено Цензурою. Варшава 7 Апрель 1903 г. Wydawczyni Marya z Chomętowskich Balińska.

W drukarni Noskowskiego, Warecka 15.

Ryba, która chodzi po ziemi.

Świat jest pełen dziwów. Któżby z was powiedział, że istnieje ryba mogąca chodzić albo pęłzać po ziemi. Obrazek nasz przedstawia takie właśnie zdumiewające stworzenie — rybę, która może żyć na lądzie! Nazywa się ona Suchwa, po łacinie *Anabas*, a mieszka w Indyach i w Afryce. Przebywa



w płytkich, błotnistych słodkich wodach, które wysychają zupełnie podczas letniej pory. Może ona całymi tygodniami, a nawet miesiącami chodzić po ziemi. Podpierając się na skrzelach, na ogonie, posuwa się naprzód. Gdyby ją trzymać bardzo długo pod wodą, usnęłaby, bo oddycha w taki sam sposób jak wy i ja. Dziwna ta ryba wie dobrze, gdzie iść, kiedy chce zanurzyć się w wodzie po robaczki i owa-
dy, którymi się żywi. Bóg dał jej wszystko, czego potrzeba do dziwnego tego życia w wodzie i na lądzie.

Miłość dziecięca.

— Ach mamo! moja mamo! jak ja kocham ciebie, Daj, niech cię ucałuję, uściskam, upieszczę. Rzekł raz Józio — o! teraz dobrze mi jak w niebie. Pozwól każdy paluszek ucałować jeszcze. Mama, tuląc wzajemnie małego pieszczoła, Odrzekła: chciej mnie o tem przekonać w przyszłości. Bo nie dość jest całować, lecz kto mamę kocha, Ten, stara się czynami dowieść swej miłości.

Upłynęło dni sporo — wtem raz się wydarza, Że nasz Józio z gorączką obudził się rano; I chcąc złemu zaradzić, z przepisu lekarza, Jakieś ziółka niesmaczne dlań przygotowano. Skrzywił się nieboraczek, jakby siedł na męki, I już się do oporu gotować zaczyna. Gdy matka biorąc szklankę z lekarstwem do ręki, Spytała: Czy to taka miłość mego syna? O! te słowa silniejsze były od rozkazu, Znikł upór i twarz nagle stała się pogodna, Powstał, otworzył usta i z rąk jej odrazu Płyn tyle wstrętny sobie, wychylił aż do dna I nie zmarszczył się nawet. Mama rozczulona, Widząc dowód miłości w chłopczyny ofercie, Z dumą go do swojego przycisnęła łona, Wołając: O! już teraz, że mnie kochasz, wierzę! To jest prawdziwa miłość; w niej Józio obficie Czerpał do cnót odwagę i od złego tamę. I starając się dobrym być przez całe życie, Dowiódł, jak zawsze w duszy kochał swoją mamę.

E. L.

Wyprawa Jadzi.

(Z prawdziwego zdarzenia).

Jadzia miała ósmy rok, a dotąd nigdy nie spotkała jej żadne zmartwienie. Miała rodziców, ślicznego małego braciszka, babcię i dziadzię, była zawsze wesola i grzeczna, kochała wszystkich ludzi na świecie, ale najbardziej mamusię. I Jadzię kochali wszyscy, ale naturalnie nikt nie mógł tak kochać, jak mamusia... Aż tu raz przychodzi telegram z Warszawy. Babcia zachorowała ciężko, dziadzio więc wzywał mamusię, aby przyjechała pielęgnować chorą. Na razie Jadzia bardzo się zasmuciła, po chwili jednak trochę, troszeczkę, obok smutku uczuła zadowolenie. Mamusia wszędzie zabierała ją z sobą, pewnie i teraz zabierze, a Jadzia bardzo chce widzieć Warszawę, bardzoby chciała pocieszyć i rozweselić dziadunia, bardzoby chciała pojechać do Warszawy — była tam, ale nic nie pamięta, miała wtedy tylko trzy lata przecie.

Mama zaczęła pośpiesznie pakować rzeczy. Jadzia i służąca wyjmowały wszystko z szafy, mama znów układała w koszyku podróżnym. Upakowała bieliznę swoją, ubranie Janeczka, upakowała dwa słoiki konfitur i butelkę soku dla babci, a Jadzi rzeczy ani tknęła. Dziewczynka nie śmiała zapytać, bo mama taka była smutna i poważna, ani się uśmiechnęła przez całą godzinę do Jadzi, ani rozmawiała z nikim, tylko ciągle pytała tatusia, która godzina? Wreszcie zamknęto kosz...

— A moje rzeczy? — pyta nieśmiało Jadzia.

— Zostaniesz w domu, Jadziuchno, z tatusiem. Któż będzie gospodarował?

Dziewczynka wybuchła płaczem. Mamusia wzięła ją na kolana, tuliła, całowała, ale Jadzia płakała coraz głośniejsze. Do pokoju wszedł tatuś. Nie zapytał o powód płaczu, tylko spojrzał poważnie na Jadzię i rzekł:

— Mama zmartwiona, jeżeli naprawdę kochasz mamusię, powinnaś zapanować nad sobą i nie płakać, nie martwić jej bardziej jeszcze. Idź, napij się wody i powracaj bez tych łez, prędko, prędko, a wracając przynieś mi z gabinetu rozkład jazdy, leży na oknie.

Jadzia, szlochając głośno, poszła do jadalni, nalała sobie całą szklankę wody, wypila sumiennie, otarła oczy fartuszkciem, bo chusteczka była już mokrzuteńka i po dziesięciu minutach stanęła przed ojcem z zapuchniętymi oczkami i czerwonym noskiem, ale zapanowała nad sobą, nie płakała już, tylko wdychała ciężko. Jadzia rozumiała doskonale, dlaczego mamusia jej nie zabiera, bo słyszała nieraz, że chorym potrzebny spokój, wiedziała, że w domu babci mamusia będzie musiała zająć się nie tylko pielęgnowaniem chorej, ale całym gospodarstwem, więc nie będzie miała czasu na opiekowanie się Jadzią, wszystko to wytłumaczyła jej mamusia i Jadzia rozumiała, ale... smutno jej było. Dotąd nigdy się nie rozstawała ani z mamusią, ani z braciszkiem, a teraz od razu i z mamusią i z braciszkiem rozstać się trzeba. Braciszka mama zostawić nie może, bo taki jeszcze malutki, że nawet sam jeść nie umie. Co do gospodarowania przy tatce, Jadzia wie dobrze, że mamusia tak mówi tylko na pociechę, przecież Jadzia wcale nawet nie wie, jak się co gotuje i do czego ile soli potrzeba, nawet herbaty nalać nie umie — zawsze należy pełen spodeczek... I przecie Józefowa umie dobrze gotować i wszystko zawsze na czas zrobić sama, Jadzia się wcale wtrącać nie będzie do niej... Zostanie, bo mama nie może jej zabrać i tylko dla towarzystwa tatusia. Tatko także zmartwiony, ale ciągle taki zajęty, pójdzie sobie do sądu (tatuś Jadzi jest adwokatem), potem do niego przyjdą klienci, a Jadzia będzie ciągle sama, sama!

O wpół do 7-ej tatuś z Jadzią odprowadzili mamę na kolej. Dziewczynka płakała, ale cichuteńko i krótko, bo się wstydziła, tyle na kolei ludzi i każdy patrzeć będzie może dlatego, że tatuś taki wysoki, może dlatego, że mamusia taka śliczna, może dlatego, że niańka Janeczka ubrana po krakowsku, może dlatego, że Janeczek nie krzyczy wcale, choć

taki malutki, a może dlatego, że Jadziunia ma oczy czerwone od płaczu jak królik a włosy jasne, prawie białe i ludzie mogą myśleć że to albinoska!

(d. c. n.)

Warsz i Sawa.

SZTUKA W 3-CH AKTACH Z PROLOGIEM

na tle starego podania osnuta, nagrodzona pierwszą nagrodą na konkursie Teatru Maryonetek,

p. Annę Młodowską.

(Dalszy ciąg).

Sędziwój. Ognisko gotowe, mości książe, zbliż się i rozgrzej zziębnięte członki. (do Wuka). Usun się na bok, uprzykrzona mucho!

Wuk. Bardzo żałuję, iż naprawdę nie jestem muchą, mógłbym cię ukąsić w ten maleńki nosek. Hi, hi, hi, spuchłby ci, jak bania! Toż to byłaby uciecha. Nie wiedziałbyś, biedaku, gdzie kłaść kolpak, na nos, czy na głowę!

Książę (siada przy ognisku). Cha, cha, cha! Ty i tak potrafisz dobrze ugryźć, chociaż jesteś tylko ucieśnym trefnisiem. Wszak i mnie samemu często się dostaje.

Sędziwój. Za wiele mu pozwalacie, miłościwy panie, rozzuchwaliło się to i wszystkim dokucza.

Wuk (skacząc). Hop! hop! nie gadaj tyle, mości Sędziwoju. Możesz sobie łatwo nadwężyć język i tym sposobem pozbawić nas swych mądrych słów. Lepiej dla uciechy księcia pana poskaczmy sobie przez to ognisko. Kto wyżej i zręczniejszy skoczy, ten otrzyma dzban miodu. Zgoda?

Sędziwój. Dobra to zabawa dla takich wartogłowów, jak ty, nie mnie przystoi jej się oddawać.

Wuk. Ejże, czy czasem nie obawiasz się raczej przypiec sobie nóżek, byś później siadać nie mógł i dla tego odmawiasz?

Książę. Cha, cha, cha! Pokażże waszmość temu niecnocie, że nie tylko orężem umiesz dzielnie władać, ale i w zręczności nie dasz się wyprzedzić.

Sędziwój. Z chęcią się spróbuję, miłościwy panie, jeśli taka wasza wola.

Wuk. Dalejże, wasza mądrość, stawaj w szranki! (Książę się usuwa. Sędziwój i Wuk ustawiają się i czekają komendy).

Książę. Uważajcie waszmościowie. Raz, dwa, trzy! (Sędziwój przeskakuje. Wuk obiegu dokoła ognisko i chowa się za krzak). Doskonale, mości Sędziwoju! Ale gdzież to nasz trefniś?

Wuk (z za krzaka). A kuku, a kuku! A kto lepiej skacze? Ja z rozpędu aż za krzak wskoczyłem!

Książę. Cha, cha, cha! a to oszust nielada! Musisz jednak dzban miodu postawić, już ja cię za powrotem przypilnuję. Czas jednak pomyśleć o powrocie, skończmy się rozgrzać, trzeba poszukać drogi i towarzyszy

Sędziwój. Pozwól, mości książę, że ja to uczynię, zostańcie tu przez chwilę, może mi się uda na-
szych odnaleźć.

Książę. Dobrze, idź i wracaj rychło. (*Sędziwój wychodzi*).

SCENA III.

Książę i Wuk.

Książę. A ty, mości skoczku, zabaw nas trochę.

Wuk. Głodnym, mości książę, to i bawić nie mam ochoty. Gdyby tak choć udko sarny przypiec na tym ogniu!

Książę. Bądź nieco cierpliwy, wszak nie ma-
ło ubiliśmy zwierza w tej niedostępnej i nieznannej
kniei, na długo starczy nam mięsiwa, byleby tylko
znaleść się razem i odszukać drogę do zamku.

Wuk. Po prawdzie wolałbym już nie jeść tych
smakołyków, a siedzieć spokojnie w Czersku, miast
tu marznąć. Pozwólcie, panie, że poruszam się tro-
chę, inaczej gotowem zmarznąć ze szczeniem. (*zaczyna
wykonywać przeróżne ruchy — książę przygląda mu się z zaję-
ciem, na zakończenie Wuk wykonuje kilka skoków i zmęczony
siada na ziemi*).

Książę. Zmęczyłeś się, biedaku, żal mi cię bar-
dzo. Sędziwój gdzieś przepadł i kto wie, czy trafi tu
z powrotem, Wiesz co, zagaś ognisko, pójdziemy sa-
mi szukać drogi, może trafimy na jaką chatę w bo-
ru, gdzieby się schronić można było. Noc zapada,
strudzonym bardzo, radbym chętnie odpoczął w cie-
plej izbie i posilił się nieco.

Wuk (*gasi ognisko*). Wiadomo, że jak taki pół-
główek do czego się weźmie, to zawsze pokpi sprawę.
Sam gdzieś przepadł, a nam tu czekać kazał na zi-
mnie. Kto wie, czy teraz nie siedzi sobie spokojnie
w jakiej ciepłej chacie, wygrzewając swoje długie
kości.

Książę. No, no, nie przymawiaj-no tak wierne-
mu memu słudze. Sędziwój na pewno nie zapomniał,
że tu nań czekamy, lecz mógł łatwo zbłądzić, w taki
czas to śladów trudno się doszukać.

Wuk. To nie marudźmy, panie, a chodźmy,
niech nas szuka ten niedołęga. (*klania się przesadnie
drzewom*). Bądźcie zdrowe, miłe drzewa, już się pe-
wnie nigdy nie zobaczymy, ja przynajmniej o to sta-
rać się nie będę!

(*Wychodzą, na scenę wpada Wicher, śnieg pada*).

SCENA IV.

Wicher.

Wiuuu.... Wicher leci

Zasypuje lasy, pola,

Zamieć nieci,

Wicher leci

Wiuuu...

(*Zastona spada*).

AKT II.

OSOBY: **Książę, Sędziwój, Wuk, Warsz, rybak,
Sawa, jego siostra.**

(*Scena przedstawia wnętrze chaty rybackiej, z lewej strony
drzwi do komory oraz komin, na którym pali się suty ogień, na*

*okapie komina siedzi kot; od powały zwieszu się sieć rybacka,
pod oknem wprost sceny siedzi Warsz i naprawia sieć, Sawa
krząta się przy kominie. Po podniesieniu zastony słychać na
dworze wicher*).

SCENA I.

Warsz i Sawa.

Sawa. A popatrz-no, Warsz, na tego kociaka,
jak się wciąż myje i myje. Gości nam sprowadzi pe-
wnikiem.

Warsz. Co też ty mówisz, siostró, a gdzieżby
to kto na taką zamieć wychodził z ciepłej chaty!

Sawa. Aby mój kot zawdy dobrze przepowie,
wie on, co robi (*podchodzi do okna*). A jaka to wichura,
omal chaty nie rozwali!

Warsz. A mnie trza nad rzekę iść, obaczyć, czy
mi śnieg przerębli nie zasypał.

Sawa. Nie chodź, bracie, o nieszczęście nie
trudno, po nocy łatwo możesz wpaść w jaki wertep
i zmarznąć.

Warsz. Nie bój się, znam ja tu każdy kątek,
każdą dróżkę, nie łatwo mi zbłądzić, a iść muszę, bo
ryby mogą mi wyginąć. Co wtedy poczniemy?

Sawa. Zawdy łatwiej we dwoje poradzić sobie,
niż samej, gdyby ciebie nie stało. Poczekaj, może
wichura ucichnie, wtedy pójdiesz i obaczysz prze-
rębłę (*daje się słyszeć dalekie wołanie: „Hej, hej, na pomoc!”*).
Słuchaj, Warsz, czy mi się zdaje, jakby wołanie
jakieś.

Warsz (*podchodzi do okna*). Nic nie słyszę. Wicher
dmie z całej siły i miota drzewami, jakby je chciał
z korzeniami powyrywać (*słychać znowu wołanie*).

Sawa. Teraz wyraźnie słyszałam. Może kto
zbłądził i szuka drogi? (*słychać wołanie wyraźniej*).

Warsz. I ja już słyszę. Wyjdę przed chatę oba-
czyć, kto to być może i w potrzebie dam pomoc (*wy-
chodzi*).

(*d. c. n.*)

ROZWIĄZANIA DO N-ru 12-go.

Zagadki do nagrody: Woda, ogień, para, dym.

Zagadka ta swoją wdzięczną, poetyczną formą zachęciła
wielu czytelników naszych do skreślenia dłuższych rozwiązań.
Z przyjemnością przeczytaliśmy je, bo po większej części
świadczą o przejęciu się przedmiotem, łatwością i pewną
barwnością stylu; kilku ułożyło rozwiązania wierszowane: Sza-
rotka, W. Witkiewicz, Jerzyk Górski, Kokoszka, Staś, Neli
i Tadzio Majewscy. Przytaczamy wierszyk tych ostatnich:

Łatwa i śliczna zagadka!

Wartą u nas zwie się matka,

Ojciec wszechwładny w Rakowie,

A że ogniem on się zowie,

Nic dziwnego — dymu wiele.

Raków — huta, a koleje,

Które mamy tu przy boku —

Bo Herbowską już w tym roku.

W ruch puszczone — więc z Wiedeńską

Siłę pery przedstawiają.

Lecz choć wiele ułatwiają,

Dokuczają nam potrosze.

Ile brudu, szumu, huku,

Te dzieciaki nam sprawiają!

Więc rozwiązawszy zagadkę
Pochwalimy tylko matkę,
Ta jak mateczka prawdziwa
W swoich falach nas obmywa.

Obszerniejsze i udatniejsze pod względem formy rozwiązania nadesłali: Muszka z Krakowa, Salomea Zagajska, Jadzia Woroniczówna, Gwiazdeczka z pod Lublina, Muszelka z Ussy, Sokół z Olszewa, Silna Wola, Kazio z Mińska, Róża z nad Białej Rzeczki, Gabryela Żdzichowska, Jadzia i Jasper Beggs. Zwiększającymi odpowiedziami ograniczyli się: Juraś Kunderewicz, Rybka z Newy, Skowronek z pod Łądu, Bodzio Górski (wybornie umie używać maszyny do pisania), L. Potworowski, Andrzejek Oczkowski, Księżniczka Wrzosów, St. Stetkiewicz, Staś Michałowski, Reginka z nad Przemszy i Dzi-dzio J., Muszka z nad Rosi nie zupełnie trafnie pojęła znaczenie zagadki.

Zamiast jednej nagrody („Sekrecik białego dworku”) rozlosowaliśmy dwie, które przypadły w udziale Silnej Woli, (adres posiadamy ale nazwisko nie podane) i W. Witkiewiczowi.

ZAGADKA.

ul. Szara Muszelka.

Siedzi w drzewie, przezroczysta —
Jak powietrze jest przejrzysta,
Łatwo pęka, bo jest krucha —
Nie przeleci przez nią mucha.

ŁAMIGŁÓWKA LITEROWA.

Sokół litew. dla Jaskółki.

a a b b c c d e e e g i i k k n o p r y y z z z
Z powyższych liter złożyć przysłowie.

ROZWIĄZANIE DO N-ru 14-go.

Szarady: Pi — san — ki,

Łamigłówni sylabowej: Alleluja.



Skrzynka do listów.

Szara Muszelka znajdzie odpowiedź na swój list w odpowiedziach redakcji. Kwestyonaryusz nie tylko was zajmuję, bo tak pragnę poznać was jeszcze lepiej... nieraz czułam się lepszą, czytając listy wasze. Prawdziwa przyjaźń wzajemnie uszlachetnia serca, a nasz stosunek na przyjaźni szczerzej jest oparty.

Chętnie przyfrunąłabym do twego okienka Zochno z nad Pełtwi, żeby ci wytłumaczyć, dlaczego redakcja zmieniła łamigłównę. Zachodził w niej błąd. Litery, które miały złożyć nazwisko przyrodnika, nie wypadły w środku wyrazów, podawałaś czasem czwartą, czasem znów piątą literę, co uniemożliwia odgadnięcie. Nazwisko Lineusz pisze się przez jedno n.

Dziękuję wam kochane Raczki z Siedlisk za list z Krakowa. Redakcja wysyła Wieczory pod nowym adresem, a ja wysłałam tam niejedną jeszcze odpowiedź w Skrzynce, prawda? Wierne Raczki nie zapomną o Jaskółce. Bałuckiego komedya i mnie ubawiła. „Wyzwolenia” nie widziałam, a chociaż zazdrość brzydkim jest uczuciem, muszę przyznać, że cieszę się z wami przyjemnością, jakiej doznałyście ale i zazdroścę wam troszeczkę.

Jaskółka, która gniazdko swe w Warszawie uwiła, musi przecież lubić twój pseudonym **Warszawiaku**, co zaś do arytmogryfu, rozstrzygnie o nim redakcja. Koło moich korespondentów wciąż wzrasta i chętnie cię do nich zaliczam.

Nie mogę dogodzić twemu życzeniu kochana **Śmieszko**, chociaż jego spełnienie mnie także sprawiłoby przyjemność. Przygotowanie numeru pisma trwa dwa tygodnie, a ty tymczasem opuścisz może Warszawę. Nagród nam innym razem zawód mimowolnie zrobiony. Jakże chętnie pojechałabym z tobą na wieś, zbierać fiołki i podziwiać sady pokryte różowymi lub białymi bukietami. Alleluja! śpiewa kościół w wielką noc Zmartwychwstania Pańskiego, wiosna we wszystkich sercach budzi hymn tryumfu i wdzięczności dla Boga, że oddał ziemię i pozwolił nam podziwiać jej piękność.

Złota Różyczka ukazała mi się na karcie w postaci ślicznego ślimaczka. Miałabym ochotę ucałować śmiejącą się z pod skorupy buzię, tylko przerażają mnie groźne rogi tego dziwnego stworzenia. „Ślimaczku pokaż rogi, dam ci mączki na pierogi,” śpiewają dzieci w powieści Sandom., może i ty Złota Różyczko, twoje do mnie po spełnienie jakiej obietnicy wyciągasz?

Szczerze i ze świadomością mego zobowiązania obiecuję ci przyjaźń kochana **Polko**. Któżby nie chciał być przyjaciółką dobrej dziewczynki, która wróciwszy z pensji, pomaga mamie w gospodarstwie a lubi przytem robotki i czytanie. Postępuj tak zawsze na radość rodziców i na chlubę waszej Jaskółki, która bardzo pragnie, aby z grona jej korespondentek wyrosło jaknajwięcej pracowitych i rozumnych kobiet. „Zestrzelmy myśli w jedno ognisko,” pisał Mickiewicz, otóż ja bym chciała serca wasze, myśli wasze, dążenia wasze zestrzelić w ognisko wielkiej, ku Bogu i bliżnim skierowanej miłości.

Ależ pytaj, **Mały Januszeku**, odpowiem chętnie na wszystkie twoje wątpliwości i będę się starała dobre ci dawać rady. Najprzód więc co do perfum to sędzę, że nalepiej zrobisz, zbierając liście róż i nalewając je oczyszczonym spirytusem, w którym długo moknąć powinny. Rzepak można siać w jesieni i na wiosnę, zależy to od gatunku nasienia, len lubi grunt dość wilgotny i bardzo nawożony, siać go należy na wiosnę w ziemię dobrze słońcem wygrzaną. Kanar rośnie na miejscach wilgotnych siany bywa na wiosnę.

Za śliczne kartki z życzeniami (własnoręcznie rysowane), Halszce i Marysi Ł. z Permu, Oleńce Wścibskiej, Podolance, Przepióreczce, Jerzemu G., Gosposi, Rybce z nad Newy, Polnej Różyczce z Ł., Hali M., Szarej Muszelce, Promyczkowi z nad Wołgi, Kokoszcze, Litwinie z nad Szeszupy, J. Mül., Muszce z Krakowa, Przędce złotych nici, Żuczkowi ze Lwowa i Sikorce z nad Pełtwi, (zręcznie rymowane życzenia), Wiewiórcze z Sośniaka, i Muszelce z Ussy, Kotce z Pilawy i Dzikiej Litwinie dziękuję i pozdrowienia najserdeczniejsze przesyła wasza przyjazna Jaskółka.

Rozwiązanie zadań oraz łamigłówni własnego układu nadesłali: Wilhelm Zdobywca, Kurka, Srebrna Lilia, Broniawa M., Józio K., Jadzia, Łowiczanka, H. Woł., Sikorka z nad Pełtwi, Żuczek, Litwinka z nad Szeszupy, Rzymianka, Żabka z Pawołoczy, Lutek Neug.

Dr. Dobrosławowi M. N. K. Nie wiedząc, jak się syn Pana podpisał, nie możemy sprawdzić czy list jego doszedł. Odpowiadamy zawsze wszystkim.

ŻARCIKI.

Zrozumiał.

Matka. Mój synku bądź pilnym i staraj się zawsze być pierwszym w klasie.

Synek. O, mamó, ja się zawsze spieszę, aby przyjść pierwszym do szkoły.

Józio. Ciociu, kiedy ciocia wstanie z tego krzeselka? Ciocia już tak długo siedzi.

Ciocia. A cóż ci to szkodzi, masz tu przecie drugie.

Józio. Ale ciocia, siadła na moim karmelku.